Rok 1901. Lwów, 6. Stycznia Nr. 1.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

PREMIE
„TYGODNIKA NARODOWEGO"

Każdy Prenumerator, przybywający na rok 1901, otrzyma jako **premię bezpłatną** jedną z następujących powieści Wojciecha hr. Dzieduszyckiego do wyboru, a to:

„Mięszane małżeństwo" . . .	3 tomy
„Święty Ptak"	2 tomy
„W Paryżu"	2 tomy

Nadto każdy Prenumerator, uiszczający należytość z góry, otrzyma jako drugą **premię bezpłatną:**

ALBUM

zawierające 10 kartonów z reprodukcyami najwspanialszych dzieł nowoczesnych malarzy.

Nadto każdy Prenumerator „Tygodnika Narodowego" otrzyma illustrowany kalendarz **„LWOWIANKA"** za przesłaniem do Administracyi kwoty 15 ct. (na opakowanie i koszta przesyłki).

„GAZETA POLSKA"

jedyne polskie czasopismo polityczne

wychodzące od r. 1883 dwa razy na tydzień w Czerniowcach

» « « « « « « « « « « « pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego » » » » » » » » » » » »

jest organem organizacyi politycznej „Koło polskie na Bukowinie".

PRENUMERATA „GAZETY POLSKIEJ" WYNOSI:

w Austro-Węgrzech rocznie kor. **20.** — półrocznie kor. **10.** — kwartalnie kor. **5·50.**

Prenumeratorowie „Gazety Polskiej" mogą otrzymywać „Tygodnik Narodowy" po cenie zniżonej:

rocznie kor. **12,** — półrocznie kor. **6,** — kwartalnie kor. **3.**

Prenumeratę i ogłoszenia do „Gazety Polskiej" należy przesyłać pod adresem:

Administracya „Gazety Polskiej" w Czerniowcach, ul. Główna 10.

1798

Rok 1901. Lwów, 6. stycznia. Nr 1.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 1:

Pieniądz... byt... karjera.

Gdy u wstępu nowego wieku patrzymy na rozwój społeczeństwa, gdy porównywujemy i u nas czasy przeszłe z teraźniejszością, a spoglądamy w przyszłość, mimowoli smutne i cierpkie uwagi nasuwają się pod pióro. Ideały znikają, miejsce ich zajmuje marna walka o pieniądz, w nim bowiem miljony widzą swój cel jedyny, swe bożyszcze.

Niepoprawni romantycy źle pokierowali łódką swoich losów. Marzyciele szli zapatrzeni w gwiazdy, nie pomnąc, że ziemię mają pod stopami. Nie nakarmiły ich ballady i romanse, nie dały dachu nad głową sonety, a pusta kieszeń i podarte buty przekonały dowodnie, że życie nie jest poematem.

Oklepane to gadaniny. Frazesy, frazesy i nic więcej! Niech i tak będzie.

Pamiętamy jednak, że będąc młodymi szliśmy w świat z dobrą wiarą. Miało się jakieś przekonania. Może to była mrzonka dziecinna — ale pragnęło się sławy, pragnęło się zrobić coś, dokonać czegoś, coby świat cały w zdumienie wprawiło. Dalej z posad bryło świata!

Pieniądz — byt — karyera — o tem nie myślały młode głowy. Zdobyć pracę... umieć pracować... zachęcać do tego owocnego trudu miliony. Stworzyć siłę, dobrobyt, cywilizacyę dla narodu. Uzacnić się i uszlachetnić i z nizin i dna podnieść do siebie ciemnych, nieumiejętnych i nieświadomych. O to czem śniły romantyczne głowy.

Życie witało ich po swojemu, ale oni szli na spotkanie tego z dobrą wiarą, z ufnością w siły własne, z przekonaniem, że można błękit z prochem szarym pobratać i nie mogli rozstać się z myślą, wierząc, że królestwo Boże winno zapanować na ziemi.

I wielu w grób legło z tą myślą, wierząc, że chwila ta jeszcze nie nadeszła — ale przyjść musi. Słali modły do Pana Zastępów, nie znali bez skargi śpiewu, patrzyli w niebo, czy tam ze szczytu nie zagrzmi grom i nie zmiecie wroga — a gdy nadzieje zawodziły, gdy dusze ich ogarniało zwątpienie, wżerała się w nią apatya, zasłyszane z oddali: „Jeszcze nie zginęła" nową falę krwi wprowadzało do nawpół obumarłego serca — wskrzeszały się siły i rwały do nowej pracy... Czas zmiótł ich, legli w groby — siwiejących weteranów luzować zaczęli nowo zaciężni.

Niby to z tego samego rodu, ale jacyś tacy inni... Drobniejsi ciałem, dojrzali, a nawet przejrzali zbyt wcześnie, a duchem i przekonaniami wcale do poprzedników swoich nie podobni.

Jak świat stary bywały różne wady ludzkie i różne zalety. Komuż nie zawróciły głowy piękne oczy dziewczyny, któż nie szalał, nie hulał w gronie rówieśników, nie spijał pieniącego się nektaru życia, kiedy czara była pełną, a usta tak chciwe napoju rozkoszy... Ale kochał, szalał i pił jak młody, któremu w żyłach tętni krew, a w głowie szumi nadmiar sił, wir myśli i ten żar uczuć, co drży jak rozgrzana fala powietrzna w dzień upalny nad rozległym łanem pozłacanym przenicą, fala, w której gorącym oddechu dojrzewają w kłosach złote ziarna, obfitego, zbożnego plonu.

Młodość to jak kwiat róży, to jak kłos pszeniczny... Potrzebuje koniecznie, aby gorący płomień słońca dobył z niej żywych barw i dał ziarno pełne, w pożywną mąkę obfite. Może dla braku tego słońca zabrakło teraz barw żywych i źle wyrosły kłosy? Zwiędły róże przedwcześnie, a puste kłosy z podniesioną głową stoją rozkoszy próżnie i dosytu. Ale gdyby to tylko brakowało barwy kwiatom, a ziarna kłosom! Jest nieco gorzej, bo w kwiecie robak się lęga, a rdza i śnieć czyni plon do użytku niezdatnym.

Coraz częściej spotykamy ludzi zniszczonych, przeżytych, zimnych, obojętnych, zwyrodniałych... Coraz szerzej niestety słyszymy słowa: spryt, szczęście, dobry węch, mądra gra, wyzyskanie okoliczności... a coraz mniej: praca, umiejętność, gorliwość sumienność i wytrwałość.

Dziś nie mówią: dorobił się uczciwą pracą, ale trafił mu się korzystny interes i zrobił szybko grosz. A jak na tem wyszli inni, nikt nie pyta. Trzeba się było pinować. W interesach niema romansów.

Dzięki takim zapatrywaniom poczęły rozwijać się stosunki anormalne. W interesach wytworzył się hazard, gorączka spekulacyjna owładnęła umysły, a zawodowi rycerze przemysłu potrafili wciągnąć do swych machinacyi ludzi niejednokrotnie uczciwych, ale charakteru słabego, którym zasmakowały kołacze bez pracy. Gra na giełdzie, spekulacya na domy i grunta, a nareszcie handel ziemią, oddawanie jej w ręce obce dla miłego zysku — oto główne etapy...

Nieuczciwi spekulanci, oszuści i wydrwigrosze istnieli zawsze, ale nie w takiej liczbie, jak dzisiaj. Czytaj kronikę sądową... I nigdy uczciwy z gruntu opór społeczeństwa, nie ulegał tak ich wpływowi, jak dzisiaj, nigdy pracujący w ciężkim czoła pocie robotnik społeczny, nie uginał się pod jarzmem wyzysku, nie odczuwał zabójczej przewagi drapieżnych piratów społecznych, jak obecnie.

Szybkie zbogacanie się, karyera, zdobycze *per fas et nefas* środków, aby użyć wszystkie te niezdrowe pożądania wywarły fatalny wpływ na nowe pokolenie. Więc coraz więcej jesteśmy świadkami smutnych bardzo smutnych scen.

Pieniądz stał się bożyszczem, tak potężnym że obok niego nie masz innych bogów. Ten, co rzuca garściami kruszec, może o nic nie dbać, wszystko lekceważyć. Dla niego wszystkie drzwi otwarte, dla niego otwarte nawet podwoje pałaców monarszych (vide Sternberg w Berlinie), może poniewierać i deptać bezkarnie wszelakie względy, nie dbać o sąd opinii. Pełna kiesa, to taki protektor, że wszystko musi usunąć się z drogi i na bok ustąpić.

Za demoralizującym przykładem idzie legion naśladowców i ginie marnie.

W chaosie i wirze wielkomiejskim nie brakuje owych zabójczych fermentów, co sieją upadek, śmierć i upodlenie. U stóp rozpusty sypie hojnie ofiary bezmyślna obłąkana czerń zwyrodniałych osobników.

Hazard zyskał szerokie przywileje. Ptaki niebieskie żyją rozkosznie niby królewięta.

Zastęp rycerzy przemysłu, drobnych, giełdziarzy, pośredników i wyzyskiwaczy paraliżuje każdą uczciwą, produktywną pracę.

W takich warunkach wyrastające pokolenie wyrzekło się mrzonek romantycznych, odnalazło inne aspiracye, szuka zysku, karyery, stanowiska. Pragnie żyć, żyć szybko, używać, walczyć o byt dobrą czy złą bronią.

Jakie tego owoce, skutek jaki? Patrzący uważnie na teraźniejsze kierunki społeczne, obserwujący życie bez uprzedzeń — znajdujemy odpowiedź, ale to odpowiedź smutna.

Luźne uwagi.

Odszedł...

Już przed rokiem żegnali go ludzie, tak im było pilno pozbyć się starowiny, co przez setkę lat towarzyszył ich dziejom.

Odszedł już naprawdę wiek XIX.

Był on genialnym budowniczym... Pomimo olbrzymich przewrotów politycznych, zaburzeń wojennych — pchnął energicznie świat na drogę postępu.

Trwałe pomniki głosić będą potomnym jego potęgę... Lecz ani jedna łza szczerego żalu nie spadnie za nim do grobu.

*

Dziwnie znamienną bywa w historyi analogia faktów.

Początek i koniec ubiegłego stulecia zaznaczył się koalicyą mocarstw europejskich, — z tą wszakże różnicą, że gdy na początku łączyły się przerażone państwa przeciwko genialnemu zdobywcy, który Europę całą rzucić chciał pod swoje stopy, przy końcu stulecia wystąpiła akcya zbiorowa militaryzmu europejskiego przeciwko bezsilnemu olbrzymowi azyatyckiemu, który sprzykrzył sobie niewygodę położenia i poruszył się w legowisku swojem...

Jest tedy wielka różnica i w etyce tych faktów, pokrewnych formą działania.

Natomiast gdy narodzinom wieku XIX grała fanfarę zawierucha wojenna, szalejąca nad Europą i otrząsnęła później niejeden lud z długiego letargu, — schyłek wieku przyniósł pozorną pogodę, z hukiem gromów w oddali, z niewysłowienie ciężką atmosferą, która ołowiem zaciężyła nad światem i głuchym bolem napełniła mu duszę całą.

*

W tej przestrzeni czasu, którąśmy zmierzyli zaledwie kilkoma słowami, zmieścił się niesłychanie długi szereg wypadków, igrających losami narodów, — gdy z drugiej strony geniusz ludzkości tworzył dzieła dla szczęścia człowieka, rozszerzając panowanie jego nad przyrodą przez olbrzymie zdobycze naukowe, przez doniosłe wynalazki.

Dziś, gdy rzucamy okiem wstecz na ten wiek, który był „chwilą tylko“, ze zdumieniem patrzyć musimy na jego pracę.

*

Wielkie zdobycze, uzyskane przez postęp we wszystkich dziedzinach wiedzy i pracy, a wskutek tego wyższy poniekąd szczebel dobrobytu narodów, nie jest wyłącznem dziełem jakiejś wyjątkowej konstelacyi sił twórczych w XIX wieku, — to naturalny, konsekwentny rozwój faktów poprzednich: wiek XIX był więcej twórczym od XVIII, ten znów od poprzednika i t. d.

Tak samo będzie w przyszłości. Ludzkość o tyle już dojrzała i zmężniała, że niepodobna obawiać się takiego zbiegu wypadków, któryby odrzucił wstecz budowę wieków — naturalnie, po za małem prawdopodobieństwem kataklizmów żywiołowych.

Ale to, co mogło być istotnie wyjątkową zasługą zgasłego stulecia, — wzrost moralności, zamiłowanie prawdy, wysoki kult sprawiedliwości międzynarodowej, — tem wiek ubiegły pochlubić się nie może.

I dopiero w ostatniem niemal tchnieniu umierającego stulecia danem mu było wziąć z sobą zapowiedź świtania piękniejszej ery...

Widział, jak marzenie idealistów, streszczające się w programie „pokoju ludów“, przestało być nieuchwytną mgławicą, zapragnęło kształtów cielesnych. I zabrzmiało potężne hasło tego pokoju.

A jeżeli na ten odgłos nie zaniechano pogwałcenia swobody pracowitego ludu w Afryce Południowej, to już całkiem logiczne następstwo systematu, nad którego budową przez sto lat pracowano — i jeden dowód więcej, że tonącą etyką polityczną na gwałt ratować trzeba z przepaści.

W jaki się to sposób odbędzie, o tem opowie czytelnikom następca mój d. 1 stycznia 2001 roku. Ale odbędzie się z pewnością.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zjednoczenie stronnictw ludowych. W dniu 1 stycznia pojawiła się odezwa, podpisana przez członków rad naczelnych stronnictwa ludowego i chrześcijańsko-ludowego (Stojałowczyków), a proklamująca połączenie się tych obu partyj pod nazwą „Zjednoczenie stronnictw ludowych“. Układ polega na następujących podstawach:

Każde stronnictwo zatrzymuje i nadal swój odrębny zarząd, lecz w sprawach, które nie są sporne i w taktyce poruzumiewają się stale oba stronnictwa i działają razem według wspólnego planu, ku czemu służyć ma wspólny organ wykonawczy, „wydział zjednoczenia stronnictw ludowych“, składający się z przedstawicieli obu stronnictw.

„Zjednoczenie“ stwierdza następujące wspólne zasady:

Pod względem narodowym.

Za najbliższe zadanie i obowiązek pracy dla przyszłości Ojczyzny, uważamy obudzenie w ludzie poczucia narodowego i obywatelskiego.

Pod względem politycznym.

Żądamy równych praw politycznych dla wszystkich obywateli, a gdy podstawą równości jest równe prawo wyborcze, domagamy się równego, bezpośredniego, tajnego, powszechnego prawa głosowania ze zniesieniem kuryj, a to zarówno przy wyborach do Rady państwa, jak do Sejmu, do Rad powiatowych i gminnych.

Pod względem społecznym.

Domagamy się pomocy dla zaniedbanego dotąd rolnictwa i troskliwej pieczy nad interesami robotników i rękodzielników.

Pod względem religii.

Zasada religii chrześcijańskiej, głosząca miłość bliźniego, jest jedyną zdrową podstawą społecznego życia ludzkości i jej rozwoju.

Natomiast zwalczać musimy i nadal uroszczenia pewnej części galicyjskiego duchowieństwa, która z tytułu swego stanowiska narzucać chce naszemu ludowi sposób myślenia w sprawach świeckich i zagarnąć władzę świecką dla siebie lub dla stronnictwa konserwatywnego, gdyż postępowanie takie uznajemy za przeciwne zasadom chrześcijańskim.

Wybory do parlamentu. W piątek odbywał się w Austryi wybór 58 posłów przeważnie z piątej kuryi do parlamentu.

Rezultat wczorajszych wyborów przyniósł sromotną klęskę socyalistom w Czechach. Z 7 mandatów, które tam posiadali dotychczas, stracili 6, utrzymali tylko jeden. Zdobyli natomiast na Morawach i Styryi po jednym, w Austryi dolnej trzy (Wiedeń 2, Wiener Neustadt 1), na Śląsku 1; w Wiedniu i Bernie kandydaci socyalistyczni przyjdą jeszcze do ściślejszego wyboru z kandydatem chrześcijańsko-socyalnym w Wiedniu, i kandydatem połączonych stronnictw niemieckich w Bernie.

Szenererowcy zdobyli w Czechach, gdzie dotychczas nie posiadali w kuryi V-tej reprezentanta, aż 5 mandatów. Stracili natomiast jeden na Śląsku, gdzie szenererowca Türka zwyciężył socyalista Eldersch.

Młodoczesi stracili 3 mandaty, natomiast świetne zwycięstwo odnieśli narodowi socyaliści czescy, którzy zdobyli pięć mandatów; wódz ich robotnik Klofac, wybrany został w dwóch okręgach.

Stronnictwo Luegera z posiadanych dotychczas 10 mandatów, zdobyło tylko 5; trzy stanowczo już straciło na rzecz socyalistów, a w dwóch okręgach odbędzie się wybór ściślejszy.

Na Śląsku w Cieszynie upadł kandydat polski z piątej kuryi p. Stwiertnia. Przy ściślejszym wyborze — dzięki liberałom niemieckim, którzy swe głosy oddali socyalistcie — wyszedł socyalista Cingr.

Ogólny rezultat wyborów jest następujący: wybrano z V. kuryi kandydatów katolickiego stronnictwa ludowego 4, niemiecko-ludowego 1, Włocha liberała 1, socyalnych demokratów 7, chrześcijańsko-socyalnych 5, Słowian klerykalnych 2, czeskich socyalistów narodowych 5, Młodoczechów 6, czeskiego konserwatystę 1, niemieckich liberałów 2, szenererowców 5, Włocha narodowca 1. W innych okręgach odbędą się wybory ściślejsze.

Rusyfikacya Finlandyi. Dalsza rusyfikacya Filandyi w toku. Urzędowa Gazeta Finlandzka ogłosiła okólnik generała-gubernatora finlandzkiego, „wyjaśniający“, że zebrania publiczne, procesye i pochody mogą być dopuszczone bez wyjednania zezwolenia tylko w wypadkach, ściśle określonych ustawą, że nie należy dopuszczać urządzania zebrań i schadzek pod pozorem rozrywek, loteryj, spektaklów, ukończenia kursów naukowych i t. p. W czasie zebrań objętych ustawami towarzystw prywatnych, policya winna czuwać nad tem, ażeby podczas nich nie odbywały się żadne demonstracye.

Słowem, system, wypróbowany w Królestwie — w całej rozciągłości odtąd znajdzie zastosowanie i w Finlandyi.

Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

Kwestya kobieca na wystawie paryskiej.

(Z wrażeń osobistych).

(Dokończenie).

Po raz pierwszy kongres feministyczny otrzymał oficyalne miejsce i subwencyę od miasta. Zasiadał też w wielkiej sali kongresów, która zaledwie pomieścić mogła 1000 przeszło uczestniczek i tłum ciekawych. Delegatek i delegatów było przeszło pięćset. Urzędowych przedstawicieli wysłały następujące państwa: Francya, Stany Zjednoczone, Rzeczpospolita Equador, Rumunia i Rosya. Nieurzędowo wzięły udział: Anglia. Belgia, Brazylia, Hiszpania, Holandya, Niemcy i Norwegia. Z organizacyj ekonomicznych reprezentowane były: paryskie syndykaty szwaczek, kwieciarek, zecerek, kasyerek, stenografek, federacya robotnic przy monopolu tytoniowym, lyońska giełda pracy i syndykat praczek, samopomoc macierzyńska z Amsterdamu, Unia kobiet z Norwegii i t. d. Delegatki zagraniczne nie zasiadły przecież w prezydyum, gdzie niepodzielnie gospodarowały francuzki. Honorowa prezydentka p. Klemencya Royer, autorka licznych dzieł naukowych i tłómaczka Darwina z powodu podeszłego wieku na chwilę ledwie zasiadła na trybunie, witana grzmotem oklasków. Prezydowały kolejno p. Pognon, piękna czterdziestoletnia brunetka, w czarnej eleganckiej tualecie, wymowna i uprzejma, która z wielką bezstronnością i taktem prowadziła obrady, p. Bonnerial, dawna nauczycielka ludowa, dziś czynna organizatorka syndykatów, dziennikarka i pierwsza kobieta w C o n s e i l d e t r a v a i l. P. Małgorzata Durand, sekretarka generalna kongresu, dawna artystka z Comedie française, dziś jeszcze młoda i piękna, zajmuje się ruchem kobiecym od ostatniego kongresu. W tym czasie założyła Frondę, zorganizowała cztery kobiece syndykaty wysuwa się coraz więcej na czoło kobiecego ruchu w Paryżu, nie przestając być jednocześnie jedną z elegantek, nadających ton modzie. Typ to niezwykły, przypominający czasy greckiego heteryzmu i dziś możliwy tylko na francuskim gruncie. Do wybitnych w ruchu francuskim kobiet należy p. Vincent, jedna z przewodniczących kongresu, która stojąc na czele kobiecego stowarzyszenia E g a l i t é była delegatką Rady miasta Paryża na kongresy międzynarodowe kobiece w lataeh 1897, 1898 i 1899 do Berlina, Brukseli i Londynu. Krótkie włosy, męski kapelusz, szara, prosta suknia, wielkie ożywienie w ruchach i twarzy zdradzają niezmordowaną, ruchliwą agitatorkę, zajmują ją kwestya kooperacyi i sprawa służących, która na każdym kongresie wywołuje żywe dyskusye. Zwrócić warto było uwagę na namiętną mówczynię p. Renault, socyalistkę, której najdalej idące wnioski kongresu zdawały się niegodnemi uwagi paliatywami. P. Kergomard, która w czerwcowym kongresie przyjmowała udział, treściwemi swemi przemówieniami ogólną zwracała uwagę: maleńka, sucha, żywa, zręczna w mowie, energiczna w czynach skłaniała się zawsze do wniosków radykalnych. Wreszcie p. Séverine, słynna dziennikarka, dawniejsza redaktorka nie wychodzącego już dziś Cri du peuple, przyjaciółka Polaków, jak w ogóle wszystkich narodów uciśnionych, każdem swem pojawieniem ogólny wywoływała entuzyazm. Istotnie młoda i piękna jej twarz, obramowana koroną zupełnie białych włosów niezmiernie była pociągającą.

Już te kilka nazwisk świadczą, że kongres to nawskroś demokratyczny, brak zupełny pań utytułowanych, za to nie brak radykalnych polityków. W komitecie zasiadali delegaci syndykatów, stowarzyszeń kooperatywnych, a radykalny depu-



PONOWA.

towany Viviani był jednym z wiceprezesów.

Kongres dla praw kobiecych stanął na stanowisku burżoazyjnej lewicy, której to kobiece skrzydło znaczne może oddać usługi, tak jak już w sprawie Dreyfusa. Fronda stanowczo oświadczyła się za rewizyą procesu. Pod hasłem zaś „prawo do życia i zachowania swej indywidualności zapewnić należy kobiecie, tak samo jak i mężczyźnie“, kongres stanął na gruncie jak najdalej idącej reformy społecznej, nie oddzielając kwestyi kobiecej od ogólnej społecznej. W porównaniu z kongresem czerwcowym obrady nosiły żywszy i więcej zdecydowany charakter, a przecież wywoływały nieustanne utarczki z grupą nieprzejednanych socyalistów, na czoło których gorącym temperamentem i żywą inteligencyą wysuwała się już wspomniana p. Renault, dawniejsza robotnica, dziś wybitna w ruchu socyalistycznym agitatorka.

Rozpoczęto od kwestyi płac zarobkowych i prawa ochronnego z 1892 r., które odnosi się wyłącznie do pracy kobiet. We Francyi w zawodowej pracy, a zatem w przemyśle, (w służbie prywatnej dla rolnictwa niema dość dokładnej statystyki) pracuje 2,565.625 kobiet, a 3,428.908 mężczyzn. Pomimo tak poważnej liczby, robotnice wszędzie wynagradzane są gorzej od mężkich pracowników, co stanowi krzyczącą niesprawiedliwość, o ile wykonywują jednakową pracę. Pierwszą zatem uchwałą postanowił kongres zwrócić się do ciał administracyjnych w rządzie, departamencie, gminie, ażeby zastosowały zasadę ścisłej sprawiedliwości, płacąc bez różnicy płci jednakowe zarobki przy jednakowej pracy, i służyły jako przykład dla przedsiębiorstw prywatnych.

Druga ważna uchwała wypadła na niekorzyść kobiet, żądających zniesienia wszystkich wyjątkowych praw ochronnych, a jednocześnie zaprowadzenia jak najdalej idącej ochrony, jednakowej dla robotników płci obu. Pomimo silnej opozycyi socyalistycznego odłamu, wymowna p. Durand przekonała zgromadzenie, przedstawiwszy, jak bardzo utrudnia pracę kobietom prawodawstwo, mające na celu specyalną ich ochronę. Feministki nie żądają, aby prawodawstwo się cofało, ale, żeby kobiety korzystały z takich tylko ustaw, które w jednakowej mierze chronić będą pracowników płci obu. Kto zna stosunki robotniczej rodziny i powolny rozwój ochronnego ustawodawstwa, uznać musi ten postulat za wysoce szkodliwy dla najbliższego pokolenia. Prawodawstwo nietyle chroni kobietę, jako jednostkę, co jako matkę przyszłego pokolenia, a organizm kobiecy gorzej, niż mężki znosi pracę fizyczną, zwłaszcza po fabrykach.

Zresztą postulat to czysto francuski. Fracuzi do każdego przejawu życia przykładają miarę swojej teoretycznej trójcy, cokolwiek kosztuje s w o b o d ę, przeszkadza r ó w n o ś c i, a zatem, powstrzymuje urzeczywistnienie b r a t e r s t w a, jest złem i odrzucenia godnem. Patrząc na kulturę nowej Francyi i olbrzymie jej rezultaty wywalczone pod trójkolorową chorągwią, dziwić się nawet trudno tej narodowej wierze...

W dalszym ciągu zgromadzenie uchwaliło, aby inspektorki fabryczne wybierane były przez kobiece stowarzyszenia narodowe, aby więzieniom i zakładom dobroczynnym nie wolno było sprzedawać wyrobów swoich po niższej cenie, przez co obniżają zarobki, aby praca w zakładach rządowych trwała najwyżej 8 godzin na dobę i inne w tym samym duchu. Żądano również przestrzegania przepisów hygieny dla służby domowej i terminatorów po warsztatach, jednakowej moralności dla płci obu, tak samo, jak i jednakowego nauczania.

Zagadnienia pracy wywoływały w tem niezwykłem zgromadzeniu kobiecem ogólne ożywienie. Natomiast sprawa zmiany ubrania jakkolwiek umotywowana względami hygieniczności, przeszła prawie niepostrzeżona. A łączyła się ona ściśle z poprzednią, gdyż chodziło tu o zastosowanie ubrania robotnic do ich zajęcia. Fałdziste ubranie kobiece samo przez się stanowi niebezpieczeństwo, tam gdzie robotnice ocierać się muszą o maszyny.

Na zakończenie może zbyt długiego sprawozdania z wrześniowego kongresu zwróćmy uwagę na postanowienia sekcyi pedagogicznej. I one wypadły w duchu reformy socyalnej, która leżała w dążnościach kongresu. Uważając kobiety za ważny czynnik w przeobrażeniu społecznem kongres żąda, aby w programy wykształcenia wchodziła ekonomia społeczna, a zwłaszcza, aby kobieta zapoznawała się praktycznie z instytucyami wzajemnej pomocy, przezorności, z korporacyą w przemyśle i handlu i wogóle z każdym kierunkiem działalności, który rozwinąć w niej może uczucia obywatelskie i dążenie do solidarności. Z tej wychodząc zasady, żądano nietylko, aby zakłady naukowe wszystkich stopni były dla dziewcząt i chłopców wspólne, ale żeby zreformowano dziś istniejące duchu sprawiedliwości i równości. Pojawiły się również uchwały o wykształceniu integralnem, któreby rozwijało równomiernie wszystkie rodzaje uzdolnień i było w pierwszem swem stadyum na tyle encyklopedyczne, aby stanowić podstawę dla przyszłego samokształcenia u tych, którzy wszystkich stopni szkolnych przejść nie będą mogli. Wykształcenie wszechstronne, bezpłatne i obowiązkowe, jednakowe dla mężczyzn i kobiet, oto rezultat dyskusyi i uchwał kobiecego kongresu.

A teraz nie zastanawiając się dłużej nad pojedyńczymi przedmiotami, które zwracały uwagę kobiecego świata na kongresach czerwcowym i wrześniowym przyznać trzeba, że te kobiece parlamenty złożyły dowód wielkiej powagi i dojrzałości, że nie zamykały się w ciasnem kole sztucznie obmyślanej odrębności interesów kobiecych. Przeciwnie, grupując się dokoła zasadniczych haseł, które przewodniczą w najogólniejszem znaczeniu myśli konserwatywnej i postępowej, zajmowały się każdem obchodzącem dziś ludzkość zagadnieniem.

Kwestya kobieca rozlewa się coraz szerzej, łączy coraz nowe grupy, a w miarę, jak kobieta wkracza do nowych dziedzin pracy i działalności, wnosi w nie właściwy sobie indywidualny pierwiastek. Jest to czynnik pojętego najszerzej współczucia. Dziś, gdy dotyka się kobieta wszystkich ran ludzkości, gdy rozumie zagadnienia społeczne, gdy udział bierze w całej działalności humanitarnej, wkracza jednocześnie do kultury naszej czynnik solidarności i współczucia. Nie chcę twierdzić, abyśmy zawdzięczali go wyłącznie kobietom, ale jest on tem, na którem ich właściwości bujnie rozwinąć się mogą.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Oprócz oficyalnego gabinetu, mieszczącego się na tem samem piętrze i w tym samym szeregu, co i sale wykładowe, dyrektor gimnazyum siekierzyńskiego miał też swój gabinet nieurzędowy, położony przy mieszkaniu, w parterze budynku gimnazyalnego.

Przepędzał tam zazwyczaj godziny wieczorne, gdy po kołacyi, kończąc palić prawdziwe H a b a n a, uczuwał potrzebę oddania się muzie. Dyrektor bowiem pisywał wiersze...

Utwory jego, ogłaszane zazwyczaj w dorocznych sprawozdaniach gimnazyum siekierzyńskiego miały już w świecie profesorskim pewną popularność, jako arcydzieła na punkcie kunsztu nadawania zawiłym profesorskim zwrotom i rozwlekłym okresom formy rytmicznej i rymowanych końcówek.

Wenę poetycką odkrył w sobie dość późno, już bowiem był etatowym nauczycielem gimnazyalnym, gdy świat nie wiedział jeszcze o jego poetyckich zdolnościach. I on sam zapewneby o nich się nie dowiedział, gdyby nie okoliczność, że dwa wstrząsające podstawami świata fakty zbiegły się równocześnie, aby w nim talent obudzić i na właściwe tory skierować. Jednym z nich był jego własny ożenek, a drugim — wstąpienie na tron cesarza Wilhelma II. Przez pierwsze pół roku od chwili swego ożenienia się z poczciwą gąską parafialną, panną Renatą, córką poborcy podatkowego, profesor czuł się w niezwykle rozmarzonem i poetycznem usposobieniu, a gdy wstąpił

na tron Wilhelm II, rozmarzenie to przybrało kształty i formę — ody na cześć nowego monarchy. „O Ty, — śpiewał natchniony pedagog, — którego Bogowie już w kolebce przeznaczyli, aby na morzu i na lądzie sławę germańskiego plemienia utrwalił, aby tryumfującej Germanii miecz zwycięski włożył w dłonie i opancerzoną prawicą krzewił na wschodzie i na zachodzie ewangelię Twego germańskiego ducha; — O Ty, który w rozumowaniu przewyższasz mędrców świata tak dalece, że przed wzniosłemi słowy Twemi stać będą jak przed zagadką, — który w sztuce malarstwa przewyższasz Apellesa, w sztuce boskiej muzyki — Eola, trącającego lekkiem skrzydłem harfę niebiańską, — w sztuce śpiewu Apollina byś upokorzył, gdybyś zechciał, a w umiejętności tresowania ludzi i zwierząt wzniosłeś się na wyżyny niedościgłego ideału, — przyjm dziś odemnie, germańskiego pedagoga, hołd i zapewnienie, że wprawdzie Ci ja tresuję tylko pacholęta, ale podług pruskiego wzoru je wszystkie wytresuję, aby znały swego Pana i władcę".

Gdy tę odę poeta-pedagog odczytał swej miłej Renacie, którą zwał „sercem swego serca i serdecznym palcem swej prawej ręki", powiedziała: Poślij to cesarzowi.

Pedagog posłał i — o nieba! — we dwa miesiące później otrzymał z kancelaryi królewskiej podziękowanie pisemne i trzysta marek. A ówczesny dyrektor gimnazyum, klepiąc go poufale po ramieniu rzekł mu, winszując sukcesu: „Z r o b i s z   p a n   k a r y e r ę, j a   t o   p a n u   m ó w i ę!"

I zrobił karjerę. Od tego czasu na każde urodziny cesarskie, na każdy nowy rok i na każde święto Sedanu pisał ody i hymny, które musieli wygłaszać uczniowie na popisowych uroczystościach, — aż wreszcie po paru latach, w młodym jeszcze wieku, został dyrektorem gimnazyum Siekierzyńskiego. Od tej chwili jego marzeniem było pójść jeszcze wyżej. Szukał, jak wilk łaknący zdobyczy — sposobności pisania hymnów i od na cześć panującego. Z powodu urodzin każdego z synów pary cesarskiej pisał odę, a że mu ta para dużo sposobności po temu nastręczała, więc kancelarya cesarska stosy jego poezyi nagromadziła. Wreszcie, marząc o tem, aby być powołanym do ministeryum, postanowił poeta-pedagog napisać już nie odę, — ale epopeję, pod tytułem „W i l h e l m j a d a".

Żona była ze czcią najgłębszą dla jego talentu.

„Idź tworzyć!" mawiała zawsze, z zachwytem spoglądając na twarz jego, okoloną bujnym rudawym zarostem, gdy on, po kolacyi, zapaliwszy cygaro, wstawał od stołu i z powagą sędziego, wkraczającego do sali sądowej, kierował się do swego prywatnego gabinetu.

A kiedy jej pokora i uwielbienie, przebijające w głosie, sprawiały mu przyjemność, wtedy wracał do drzwi gabinetu, kładł namaszczony pocałunek na czole żony, która to przyjmowała, jako odznakę najwyższej łaski męża pana, i mówił:

„Idę tworzyć!" — i szedł pisać „W i l h e l m j a d ę", a żona pozostawała jakby w upojeniu i długo jeszcze spoglądała z czułością na drzwi, które się za nim zamknęły.

We dnie gabinet — po sprzątnięciu — stał pusty, gdyż dyrektor „tworzył" tylko między ósmą, a jedenastą godziną wieczór.

Niemałe też zdumienie ogarnęło panią Renatę, gdy następnego dnia po rewizyi u Beńkowskiego, dyrektor, wstając od stołu po obiedzie, około trzeciej po południu, zapytał:

„Czy mój gabinet uprzątnięty?"

Pani Renata tak była zdumiona tem pytaniem, że, nie odpowiadając na nie, klasnęła w ręce i zawołała radośnie:

„A więc udało Ci się ten rym wynaleść?"

Poczciwa kobiecina myślała, że jej mąż w tej chwili odnalazł rym do nazwy K i a u - t c z u, nad którym, opisując w „Wilhelmjadzie" zwycięstwa Niemców nad Chińczykami, utknął i wybrnąć ani rusz nie mógł.

Lecz sama wzmianka o tym rymie nieszczęśliwym, „który — jak twierdził dyrektor — odbierał mu możność spokojnego trawienia już od tygodnia, spowodowała, że jowiszowe czoło jego przecięła głęboka bruzda niezadowolenia. Z pewną nieukrywaną niecierpliwością powtórzył pytanie poprzednie.

„Ależ naturalnie, że gabinet sprzątnięty" odrzekła mu żona.

„Za chwilę ma tu przyjść do mnie komisarz policyi na konferencyę. Wprowadzisz go do mnie do gabinetu i podasz nam czarną kawę. Gdyby przyszedł Korkewitsch, który też ma nadejść, każ mu tu czekać."

„Komisarz policyi?" wyrzekła coraz bardziej zdumiona kobiecina.

— „Moja duszko", rzekł niedopuszczającym repliki głosem dyrektor, — „wszak wiesz, jak nie lubię, gdy pytasz, nie będąc pytana". Z temi słowy z powagą otworzył gabinet i wszedł do wnętrza. Zasiadł na fotelu i czekał.

Po chwili usłyszał lekkie pukanie. Wszedł komisarz policyi.

„Podług życzenia pańskiego — rzekł dyrektor — oczekuję pana o oznaczonej porze w tem prywatnem mieszkaniu, skoro panu o to chodziło, aby nie być widzianym".

„Wspólny nasz interes mnie sprowadza do Pana, panie dyrektorze", rzekł komisarz, siadając.

„Słucham" odpowiedział dyrektor, częstując go cygarem.

„Pan wie, jak niedorzeczna pogłoska rozeszła się po mieście — o jakiemś tajnem stowarzyszeniu, o umówionej demonstracyi przeciw Danielewskim i tem podobne brednie".

„Brednie?" zawołał dyrektor. „To fakty, nagie, prawdziwe, namacalne fakty. — Jeśli pan nie jest wystarczająco poinformowany, — mówił, chcąc ukłóć komisarza, aby zrewanżować się za ochrzczenie „bredniami" odkrycia, które on uważał za swoje, — jeśli pan chce, to się zaraz przekonamy". To mówiąc, klasnął w ręce. Ukazała się na progu służąca.

„Jest Korkewicz?"

„Dopiero co przyszedł," odrzekła służąca.

„Zawołaj go tu" rzekł dyrektor.

Korkiewicz, mocno „cięty" wszedł z ukłonami.

„Proszę, mów pan: co pan znalazł u Danielewskiego? Szczęście, że pana mój służący wreszcie znalazł i przyprowadził. Pan pił od wczoraj — z radości, czy z rozpaczy? — a u mnie z relacyą się nie pokazał!" —

— „Sprzysiężenie, czyste sprzysiężenie, panie dyrektorze," bełkotał Korkiewitsch.

„Więc cóż pan znalazł?"

„Wszystko tak, jak pan dyrektor mi przepowiedział! Biblioteka — same polskie rewolucyjne dzieła: Kraszewskiego, Mickiewicza, Sienkiewicza". —

Dyrektor machnął ręką, więc Korkiewicz przerwał wyliczanie autorów i mówił dalej: „Stowarzyszenie studenckie, gazety, zagraniczne gazety, sala obrad, tajemne stowarzyszenie, posiedzenia, tajemnicze papiery, masa korespondencyi — i to wszystko po polsku", dokończył Korkiewicz tonem przeświadczenia, że conajmniej zdradę stanu udowodnił.

Dyrektor spojrzał tryumfująco na komisarza. Komisarz dał znak, aby oddalić Korkiewicza Korkiewicz wyszedł z gabinetu.

Komisarz kilka razy przeszedł się po pokoju, otoczył się obłokiem dymu z cygara, a dyrektor zapytał: „No i cóż pan teraz?"

Komisarz stanął przy biurku dyrektora i, uderzając dłonią w grubą, pięknie oprawną księgę, na której widział napis złocisty: „W i l h e l m j a d a", rzekł:

„Panie dyrektorze! Mówmy ze sobą jak ludzie rozsądni! Ot, ta tu — pieśń natchniona pańska nie naprawi wobec władz pańskiej reputacyi, gdy ją śledztwo po wykryciu stowarzyszenia tajnego nadweręży! Niech mi pan wierzy — urodziłem się tu między Polakami i znam ich: u nich wszyscy spiskują, z tą tylko różnicą, że każdy na inny sposób. Lubią się otaczać tajemniczością nawet gdy wspólnie odczytują Mickiewicza. A pan wie: w kraju, gdzie wszyscy spiskują, nikt nie spiskuje. My wiemy, że to rzeczy nieszkodliwe i tylko wybryki zbyt wybujałe ukrócamy. Ale jeśli pan chce — niech pan uderzy w wielki dzwon na trwogę! Zwali się panu na kark pół tuzina radców z Berlina, nie znających terenu, i jak zaczną wyciągać spiski, a chwalić się swemi odkryciami po gazetach, to się pokaże, że i ja, i pan, i my wszyscy tutaj byliśmy kapitalne osły, i że trzeba było dopiero radców z Berlina, aby zagrożoną ojczyznę ratować!

(Ciąg dalszy nastąpi).

ADAM STODOR.

WIZYA.

Józefowi Gertowskiemu.

I.

A com widział w Marzeniu, jak zdołam, opowiem:
Skalista droga biegnie nad przepaści skraj —
na niebie tarczy słońca płonie lśniący żar,
a wokół pustka skalna, przejmująca mrowiem.

A wiatr, który przelata nad żarnem pustkowiem,
miecie piasku kurzawę i co kilka staj
kładzie wały — tam znowu słup piasku się starł
z słupem piasku — i runął na ziemię ołowiem.

A nigdzie, nigdzie nie ma ukojnej oazy,
kędy pod palmy cieniem tryska wody zdrój,
dokoła piaski tylko, kurzawa i głazy
i nic nie mąci ciszy owej niezmierzonej,
słońce tylko żar leje bezustannie swój
na tę pustkę, straszliwą w grozie niezmąconej...

II.

A tą drogą skalistą dziwny tłum się wlecze...
Starców, kobiet i dzieci idzie tłoczny rój,
a każdy grzbiet pochyla spory ciężar wdół,
z każdego czoła brudny pot kroplami ciecze...

Idą — na poły nagie ciała z góry siecze
żar promieni, nieczuły na dążących znój —
idą korni, zmęczeni, jako w jarzmie wół,
postacie wynędzniałe, schorzałe, kalecze...

Idą — głuche rzęrzenie piersi im rozrywa,
albo z gardła się wyrwie przejmujący jęk —
kajdan dzwonią li głucho u nóg ich ogniwa...
Obok kroczą, strzegący tej trzody, siepacze,
siejąc postrach wśród rzeszy bezsilnej i lęk,
pletniami uciszając jęki i rozpacze...

III.

A wtem jeden przystanął — w lśniącym w słońcu pyle
ujrzał miraż zwodniczy — wyprostował się —
Oaza! — Siły w sobie nagle poczuł lwie —
poczuł, że krew mu kipi niemal w każdej żyle.

I szczęśliwy się zwrócił ku tym, którzy w tyle
pochyleni bez duszy szli i podniósł głos,
że przed nimi oaza — a wtem uczuł cios
bolesny — i mrok śmierci okrył go za chwilę.

A tłum, wlokąc się zwolna pod siepaczy strażą,
ni wołania nie słyszał, ni widział, jak padł
ów dziwak, który widział inaczej, niż każą...
Szli bez myśli — dozorców bat wciąż znaczył plecy
żar słońca razy swoje wciąż na grzbiety kładł —
szli bez myśli, ciałami i duchem kalecy...

IV.

I płynął tłum nędzarzy rzeką niezmierzoną —
wiek wszelaki, płeć różna, Babel wszelkich mów
w skład wchodzą owej rzeszy, nieznającej słów
radości, jeno mękę bytu nieskończoną...

Przepłynęli nareszcie i w oddali toną —
chrzęst kajdan jeno z onych dolatuje stron...
jęk cichy jeszcze słychać skazanych na skon
lub bezmyślnie i ducha pustkę niezgłębioną.

Przepłynęli — na drodze skalnej pozostały
po ich przejściu li ślady niezaskrzepłej krwi
i ślady stóp, co w piasku owym się nurzały...
Znowu głucho — na niebie tarcz słońca się pali,
a blask jej na skał zboczach łamie się i szkli,
że mienią się, by bryły stopione metali...

V.

Wtem nagle się zmieniły w róż wonne szkarłaty
krwi strugi, z skały srebrny strumień nagle trysł,
ponad którym palm wiotkich liść, szeleszcząc, zwisł,
skrywając wśród zieleni ptaszęt rój skrzydlaty...

Czarodziejska oaza — palmy, zieleń, kwiaty,
szept liści szeleszczących, strugi rzewny szmer,
słońce blaski łagodne, szlące z górnych sfer,
harmonja barw i tonów — czarowne zaświaty...

A pośród pni palmowych doryckie kolumny,
chłonące śnieżną bielą miły słońca blask,
nad niemi, strojny rzeźbą, lśni tympanon dumny —
Świątynia to rozkoszy zmysłów i upojeń —
schron Wenery, Astarty, tej dawczyni łask
ludziom, którzy nie znają bytowych uznojeń...

VI.

Hej! tam w dali rozbrzmiewa gdzieś skoczna muzyka,
brzęczą dzwonki miarowo i zawodzi flet.
Z gęstwy wyjrzał kosmaty Pan, pochylił grzbiet,
słucha, słucha... piszczałkę do warg wraz przytyka.

Ostry gwizd przerwał ciszę i w gęstwinę wnika,
gwizdowi Pana gwizdy odpowiedzą w lot,
za faunem faun gęstwiny rozgartuje splot
i drwiącą twarz, słuchając, na drogę wytyka.

A muzyka tymczasem zbliża się z oddali
i na drogę wbiegają bachantki — ich ciał
biel połyska wśród słońca, w ich oczach się pali
skryta żądza i w spiewie ich bachicznym dzwoni
i taniec ich przemienia w dzikich ruchów szał,
więc z krzykiem fauny ku nim z gęstw wyskoczą toni.

VII.

A za faunów, bachantek i dryad gromadą
we dwa gryfy zaprzężon posuwa się wóz,
ściany ma z złotych prętów plecione, by z łóz,
wnętrze purpura ścieli, spadając kaskadą.

Na nim Baal wpół-leżący, twarz pijaną, bladą
zwraca ku nagim kształtom Astarty i wzrok
zatapiając w ich piękno, z czary pije sok
Bachowy, drugą ręką pieszcząc ją bezradą...

Jadą tak... fauny wznoszą raz po raz okrzyki,
tam znowu rwącą falą bucha dryad śmiech
lub na nowo bachantek spiew rozbrzmiewa dziki...
Jadą tak, ku marmurem świecącej świątyni,
by w jej wnętrzu bez przeszkód mógł królować Grzech
pod berłem światowładnej Astarty — mistrzyni...

VIII.

...A potem była cisza niezmierna, grobowa,
nie mąci jej ni nędzy rozpaczliwy jęk,
ni dziki rozpasania zwierzęcego szał —
cisza — cisza niezmierna, bezdźwięczna, bezsłowa...

A na niebie zagasło słońce i kirowa
wszystko okryła ciemność i wsączyła lęk
w wszelki twór istniejący i skruszyła w miał
głos wszelki, chcący wznieść się, gdzie włada Jehowa...

Wtem nagle krwawym blaskiem Wschód się zaczerwienił,
w blasku tym Anioł-Śmierci zstępywał z nieb,
miecz w prawicy się jego olbrzymi płomienił.
Szedł piękny, twarz mu szpecił jeno kurcz goryczy,
coraz smutniejszy schodził w dół do ziemskich gleb,
by spełnić Przeznaczenia wyrok tajemniczy.

J. S.

Dzieci — a zimowe wieczory.

I. Gdy po swobodzie wakacyjnych dni— nasze dzieci wrócą do nauki i pracy, ani spostrzegamy się, kiedy głęboka jesienna cisza ich otoczy, a za nią i zima z długimi wieczorami się zbliża.

Zdaje się — rzecz to zwykła, codzienna, monotonna. Dzieci w zimie bawią się inaczej, jak w lecie — stają się cicbe i spokojniejsze, trocha może ubędzie im rumieńców, ale to wiosna znowu powróci. Dzieci starsze chodzą do szkoły. Wieczorami mają wiele do nauki, ćwiczenia do wyrabiania, ot — tak przejdzie szybko czas powolnej ciszy i zimowych wieczorów.

Jednak — należy spojrzeć innem okiem na tę kwestyę życia dzieci, podczas długich wieczorów zimowych. Rzecz naturalna — możnaby bardzo dużo o tem napisać. Temat nie da się tak rychło wyczerpać. My giki, powiadając, iż — zostawiamy całą sprawę szkole i nauczycielom.

— Ja się nic nie mieszam do mojej Mańci, powiada pewna mama. Zupełnie oddałam ją pod kierunek nauczycielek, one już wedle naszego systemu wychowanie prowadzą, one już ulepszoną metodą naukę wykładają.

A inna i dziesiąta i setna znów powiada: — Mam ja dość z mniejszemi dziećmi kłopotu i zajęcia, ażebym się jeszcze zajmowała temi, co chodzą do szkoły. Zresztą one mają tyle do roboty, że i niema się co pytać. Piszą, rysują, uczą się, tak im całe wieczory przejdą.

Moje Szanowne Panie! Bardzo dobrze, że umiecie ocenić pracę nauczycielek lub nauczycieli, że im ufacie, bardzo dobrze, że zajmujecie się młodszemi dziećmi, bar-

Powtóre — zaopiekowanie się młodkszemi dziećmi i poświęcenie im wiele czasu, nie może w żaden sposób uwolnić od obowiązku wychowania dzieci starszych. Jak powiada Trentowski w swej Chowanice: W y c h o w a n i e n i e j e s t c h o d o w a n i e m — i dostarczanie starszym dzieciom tylko ubrania, jedzenia, książek i zeszytów, nie może zwać się wypełnieniem obowiązków rodziców. „Dziecię ma przynieść z sobą dobre wychowanie do szkoły, ponieważ tu już wychowanie, jest rzeczą drugorzędną, a pierwszą nauka“. Zaś wychowanie domowe nie urywa się z chwilą zapisania dziecka do szkoły, tylko przeistacza się w pracę, która musi być ujęta programem i być prowadzoną systematycznie.

Długie, jesienne i zimowe wieczory są dla rodziców i wychowawców wielki-



POWSTANIE z r. 1863.

jednak chcemy zwrócić uwagę na kilka najważniejszych spraw, które prawdziwie na każdym prawie kroku nas uderzają, a które wołają o reformę i poprawę.

Chcemy mówić o dzieciach miejskich, które w ciasnych mieszkaniach tulą się, które też z ubrania — i tytułów rodziców niby zaliczone są do klasy dzieci ludzi inteligentnych, a w rzeczy są dziećmi bardzo zaniedbanemi, lub źle prowadzonemi.

Kto tylko cokolwiek poważniej pocznie patrzeć na sprawę pedagogii domowej i zajęcia się dziećmi w ich wychowaniu, przyznać musi, iż naprawdę — kulejemy jeszcze bardzo i nie żyjemy w wieku zdobyczy naukowych, ale stoimy o wiele dziesiątków wstecz cofnięci.

Przedewszystkiem — jeśli mamy dzieci, które już chodzą do szkoły — czujemy się uwolnieni od ciężarów i trudów pedagodzo dobrze, że wasze dzieci tak pilne są, iż całymi wieczorami uczą się — ale...

Czy wolno powiedzieć szczerze?...

Ale jest w tem także dużo złego.

A to złe, o którem chcemy w pogadankach naszych pogawędzić, nie dotyczy tylko samych mamusi i cioteczek, lecz także o tyle, o ile one wieczorami w domu się znajdują i mogą cokolwiek dziećmi się zająć.

Przedewszystkiem — szkoła nie może przyjąć na siebie obowiązku zupełnego wychowania młodzieży. Ona może uzupełniać wychowanie domowe, może iść z niem ręka w rękę, może nawet systemem ulepszonym i praktyką nabytą wiele poprawiać — jednak największym błędem wychowawczym jest zupełnie ręce odjąć i rzec: — szkoła już nad tem pracuje.

mi dniami orania, siewu, plewienia i szczepienia. Dziecko, które wraca ze szkoły do domu po pierwszej z południa i dość zmęczone pracą pięciogodzinną, rzuca stos książek i zeszytów na stół — to nie niewolnik oświaty, któremu zaraz znów trzeba zakładać na kark obroże pracy i mówić, a wołać bezustannie: ucz się!, pisz!, pracuj! lecz to jednostka społeczeństwa, nad którą trzeba w domu pracować i czuwać i strzedz, ażeby sił nie nadwerężyła ażeby zniechęcenie jej nie ogarnęło, ażeby rozgrzała serce i uczucie rozbudziła w sobie, aby po chwili rozrywki i wytchnienia znów wracała do obowiązku pracy...

A tu wieczory takie długie, a tu tyle, tyle do roboty...

Niepodobna zezwolić na to, ażeby dziecko cały wieczór siedziało przy książce i zeszycie — nawet chociażby to dziecko

miało już 5—7 klas wyższych za sobą. Niemożebne znów wołać, jak niektórzy czynią: nie siedź! nie męcz się!!..

Owszem — nauka jest mozołem i trudem, lecz przy uwadze rodziców, przy zastosowaniu pedagogii w domu da się zdobyć bez nadwerężenia sił i nie stanie przeszkodą do wychowania zupełnie ukończonego.

Dzieci, które już chodzą do szkoły — muszą mieć na naukę domową urządzony podział godzin. W żaden sposób nie można zezwolić, ażeby dzieci młodsze, które jeszcze nie uczą się, bawiły się przy tym samym stole, przy którym starsze dzieci się uczą. Bo i przy największym dozorze i przy największej uwadze, zabawa dzieci sprawia roztargnienie przy nauce, i dzieci niejeden raz o 2—3 godziny dłużej muszą sie uczyć jedynie dlatego, iż nie miały spokoju, ani uwagi nie mogły skupić. W domach klasy średniej przeważnie zaś bywa tak, iż na długie zimowe wieczory zasiadają wszyscy w jadalni przy jednym stole, gdzię i rozmowy nie braknie i śmiechu nie mało, a zadanie łacińskie lub tłumaczenie niemieckie pisze się wprawdzie nie raz piórem, ale myśl o niem nie wie i pamięć mu nie chce dopomagać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dr. Jan Stella-Sawicki.

ALGERYA.

(Ciąg dalszy)

Dla obznajomienia ze zwyczajami mieszkańców i z krajem, opiszę mą podróż od brzegów morza do Sahary.

W grudniu wyjechałem z Konstantyny do Bathmy Naczelnik prowincyi Konstantyny okazał tyle grzeczności, iż dodał mi eskortę, składającą się ze szwadronu afrykańskich konnych strzelców, którzy mieli zatrzymać się w Biskarze, jako najdalej wysunięty garnizon.

Zaledwo twierdza znikła z oczu za horyzontem, odkrył się widok czysto afrykański. Przed nami, za nami, w prawo i w lewo była piaszczysta pustynia, zaledwo gdzieniegdzie pokryta trawą, wzgórza stanowiące północne stoki Atlasu, były pustynne, jak i wszystko, co nas otaczało; nigdzie najmniejszego drzewka, nigdzie ruczaju. W drodze każdy żołnierz zbierał zeschłe trawy lub gdzieniegdzie wyglądający z ziemi korzeń drzewa, które niegdyś rosło w tej pustyni, aby mieć możność ugotować strawę na biwaku. Noc przepędziliśmy w karawanseraju oddalonym o trzy mile od Konstantyny. Był to rodzaj zajezdnego domu, w którym można znaleźć spoczynek i posiłek. Karawenseraje te otrzymują najczęściej wysłużone markietanki, albo Maurowie, lub Turcy.

Na trzeci dzień widnokrąg zmienił się. Miejscowość, na którą wstąpiliśmy, nosiła na sobie ślady strasznych geologicznych przewrotów. Co chwila musieliśmy spuszczać się w przepaściste parowy lub piąć się na wzgórza, widocznie podniesione siłą wewnętrznego parcia. Ziemia w jednem miejscu była, jak krew, czerwona, w drugiem brunatna, w trzeciem zielona, w czwartem żółta. Powierzchnia błyszczała od kryształów soli osiadłej z wód, które kiedyś tu przed tą ostatnią katastrofą toczyły swe fale po tych miejscach. W południe tego dnia stanęliśmy dla odpoczynku około tak zwanej góry solnej, w której kryształy soli odbijały się na słońcu, jak dyamenty. W oddaleniu, w górach, w chwili gdy wyruszaliśmy dalej, usłyszeliśmy ryk lwa szukającego żeru, który przed kilku dniami pożarł człowieka Proponowano mi należeć do ekspedycyi, która się udała przeciw temu szkodnikowi, lecz podziękowałem za zaprosiny, bo tego rodzaju zabawa nie uśmiechała mi się ani trochę

Około piątej po południu po raz pierwszy w życiu ujrzałem tak zwany „miraż" przedstawiający jezioro otoczone palmami. Obraz ten przeniesiony Bóg wie z jakiej odległości, niknął w miarę zbliżania się ku niemu i zgasł razem z zachodzącem słońcem.

O 9 wieczorem, gdy księżyc w pełni wychylił się z poza gór i gdy gwiazdy zabłysły na ciemnem niebie, doszliśmy do ostatniego łańcucha gór, oddzielającego tak zwany Tell od Sahary. Skalista, stroma góra, jak ściana, stała przed nami. Nie mogłem sobie przedstawić, jak przejdziemy za tę przegrodę. Lecz wkrótce na skręcie parowu ujrzeliśmy wielką szczelinę, jak gdyby gora w tym miejscu rozerwana była rękami olbrzymów, a w szczelinie wił się potok, kierując się ku południowi. Przez potok był przerzucony most, który budowali dawni Rzymianie. Ręka ludzka od tego czasu nie dorzuciła ani jednego kamyka, ani garści wapna i gliny, a most rzucony wspaniałą arkadą stoi, urągając czasowi, burzom, piaskom pustyni, pokazując, jak wysoko była posunięta w starożytności sztuka budowania dróg i mostów.

Zaledwo przebyliśmy most i wąwóz, w którym kompanja piechoty mogłaby zatrzymać armię całą, oczom naszym przedstawił się cudowny widok. Na lewo, jak tylko wzrok sięgał, ciągnęły się żółte piaski. pokryte czarnemi plamami. Ten step i te plamy, w poetycznym języku arabów, nazwane skórą tygrysa, była to Sahara z jej oazami. Na prawo, tuż pod górą, po obu stronach potoku, znajdował się dziwnej piękności i powabu ogród, śród którego bielały domki i figury poważnie spacerujących arabów. Była to pierwsza oaza El-Kantara.

Migdałowe, pomarańczowe i palmowe drzewa tworzyły ten śliczny ogród. Tysiące kanalików odprowadzały wodę rzeczki do kanałów służących do polewania pól i do kanalików omywających podnóże każdej palmy. Nie jestem w stánie opisać, w jakim byłem zachwycie, patrząc na ten cudowny widok. Nieraz w wyobraźni starałem się przedstawić, co to jest oaza, lecz wyobraźnia moja nigdy nie była wstanie stworzyć tego pysznego obrazu. Do północy brodziłem pod temi drzewami. Małe, czarnie żółwie przesuwały się po drożynkach. Za oazą potok niknął, topiąc się w piaskach i tylko do tego miejsca ciągnęła się zieloność, dalej już była pustynia. Na granicy oazy konie arabskie położywszy się na ziemię, spały, jak ludzie, chrapiąc głośno. Niektóre rżały i poruszały we śnie nogami; widać że im się śniły stepy, które przebiegają tak często, a może polowanie na bystronogie gazelle. Wszystko to było dla mnie tak nowe, tak dziwne i zachwycające, że noc bym cały był przechodził tem więcej, że noc była pyszna, księżycowa, a powietrze przepełnione zapachem kwitnących drzew pomarańczowych, odurzająco działających na zmysły. Lecz zrana potrzeba było znowu ruszyć w drogę, a całodzienna jazda konna zmęczyła nas dobrze, należało więc udać się na spoczynek.

Zaledwo zaświtało, ruch się zaczął na oazie; otworzyły się drzwi domków tak, że ciekawe oko Europejczyka mogło spojrzeć do wnętrza ich, popatrzeć na zajęcia matek z dziećmi, na tkanie burnusów i na przygotowanie kuskusu — ulubionej potrawy arabów. Udając się do Bathmy, musieliśmy wziąć dwóch przewodników Arabów, którzy, siadłszy na koń, stanęli na czele oddziału. Dwie młode kobiety, żony ich, przyszły z naczyniem wody i polały nią grzywy koni na znak życzenia, żeby wody nie zabrakło nigdy w podróży. Aktu tego, powiadają Arabowie, może dopełnić tylko kobieta — bo ona jest „kochającem stworzeniem". Między ciekawościami widziałem dziewczynkę mającą nie więcej jak lat 12, która dźwigała na plecach dziecko; ze zdumieniem dowiedziałem się, że to była już mężatka i matka tego dziecięcia. Za oazą wznosiło się kilka kurhanów, pokrytych kamieniami, gałęziami i różnemi gałgankami — były to mogiły zabitych na wojnie lub słynnych w narodzie ludzi Każdy przechodzący lub przejeżdżający uważa za obowiązek rzucić na nie gałązkę, kamyk lub kawałek odzienia swego i stąd te kurhany rosną nieustannie i wiele z nich jest dość znacznej wysokości. Kilka ruczajków płynących na południe od Elpantary ma wodę słoną, a miejscowość tak jak i na północy od tej oazy porznięta parowami, w których ziemia w mnogich miejscach aż bieleje od kryształów soli. Oficerowie francuzcy mówili mi, że około oazy Tegutet znajduje się kilka niewielkich jeziorek, ciepłych i mających takie same własności, jak źródło Sprudel w Kralowych warach, w których kwiatek zanurzony pokrywa się osadem wapna i kamienieje. Widziałem kilka prześlicznie skamieniałych róż i goździków, nawet jeden przywiozłem ze sobą do Europy.

(Ciąg dalsz nastąpi).

TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

XIV.

Pewnego dnia, wyrwawszy się na chwilę z grona gości, starosta siedział w gronie milszych sobie towarzyszy, gdy dano znać, że z Warszawy przybył posłaniec. Adam kazał wprowadzić do sali, posadził go przy stole, a sam odczytywał przywieziony papier. Był to list od teścia, donoszący nowinki stołeczne i polityczne. Między innemi, pisał on, że Paracki żyje: „mimo tego, sądzę, mój kochany Adamie", brzmiał jeden ustęp „że z drogi tej, na którą niedawno wstąpiłeś, a na której czekają cie zaszczyty, nie zechcesz tak prędko schodzić, ile, że już niedługi czas czekać trzeba, żeby ziściły się plany najjaśniejszej carowej Wszech Rosyi; w tym razie możesz być pewnym największych dowodów jej łask. Nawiasowo donoszę Ci, że stanęły już ważne układy polityczne.

U nas, tu w Warszawie, znajdują nasze usiłowania coraz większe poparcie; dowodem tego np., że niektórych gorliwych patryotów, do których Paracki, jako podwładny, należy uprosiłem, aby wysłali go do Ciebie z listem; mając raz w swojem ręku tego człowieka, będziesz mógł z nim postąpić wedle upodobania. Stanie się to w bardzo krótkim czasie. Sądzę, że wiadomość ta miłą ci będzie".

Cały list był w ten sposób napisanym, to też starosta omal nie szalał. Już od kilku miesięcy postępowanie Moskwy zaczynał widzieć w prawdziwem świetle. Dyplomata wysłany z pomocą sąsiadowi przed obcymi najezdcami, przybrał w jego oczach postać służalca dworu, który stał na straży, aby drugi zanadto się nie wzniósł on zaś sam..., on sam zaczął coraz wyraźniej przekonywać się, czem dotąd był, jaka odpowiedzialność czeka go przed Bogiem i przed ludźmi. Dzisiejsze słowa, rzucone mu w twarz, jemu, szlachcicowi polskiemu, jako śmiertelna obelga wtedy, gdy związany już tyloma względami, napiętnowany imieniem zdrajcy, pomścić się za to nie śmiał, potwierdziły te domysły.

Przypomniał sobie, że w południe odszedł od grona mężczyzn, zajętych na dziedzińcu końmi, świeżo kupionymi. Szedł co prędzej, by znowu zgubić się z swą głową w rozmowie o gospodarstwie, zapomniał, że kilka godzin już minęło od tego czasu. Na dziedzińcu nikogo już nie było, ani znaku tego ruchu, który panował tu pierwej. Wrócił się więc, a po drugiej stronie domu, znalazł gości siedzących pod szklanym dachem, na werandzie kwiatami zastawionej. Starsi mężczyźni, wszyscy w polskim stroju, siedzieli przy winie po jednej stronie, po drugiej damy młodsze i starsze, w towarzystwie młodzików, którzy na dowód oświaty i postępu przywdziali już fraki i peruki. Gospodarz usiadł w gronie starszych wiekiem, ani tłumacząc się z długiej nieobecności; ci przyjęli go wesoło, i posadziwszy obok siebie, wezwali do rozstrzygnięcia jakiegoś sporu. Starosta nieco ponury ożywił się po chwili, przyłączył się do rozmowy, która trwała czas jakiś jeszcze. Potem powstali wszyscy, na przechadzkę ku lasowi, aby oglądać zachód słońca nad dużym stawem.

Gospodarz powstał z innymi i teraz dopiero ujrzał jakiegoś obcego człowieka, który stał oparty o drzwi do pokoi prowadzące, przypatrywał się, milcząc, towarzystwu. Adam przez czas jakiś, tak, że goście niektórzy mieli czas oddalić się kilkadziesięt kroków, przypatrywał się i kilkakrotnie przecierał czoło, jakby przypomnąć sobie nie mógł, czy zna tę osobę, na reszcie głośno zapytał „Czego tu?"

„Mam poselstwo do pana starosty w liście i ustnie.." tu czekał aż ostatni jegomość zniknął za drzewem, i przypominam się szanownej pamięci: Władysław Paracki, wolny znowu".

Adam, jakby tnięty czemś dotkliwie, drgnął na całem ciele. Przypomniał sobie zapowiedź tych odwiedzin, zupełnie spokojnie prosił siadać nowego gościa. Ale nagle nowa myśl przyszła mu do głowy:

„U nas dużo gości, imieniny córki ambasadora, Amalii", wymówił to dobitnie „zechciej że i pan, panie pułkowniku, pobawić się z nami, proszę, bardzo cię proszę, interesa zostawmy na później".

„Sprawa nasza nie cierpi zwłoki", odezwał się, delikatnie protestując, Paracki",

„O! ja bardzo, proszę!" podchwycił gospodarz surowo, a oko mu zapałało „od czegoż ja tu pan. Silniejszy słabszego zmusić potrafi, prawda?"

W drodze rozmawiano o wypadkach, które zaszły od czasu rozstania. Paracki opowiedział, jak jednej nocy, do gospody w Krakowie, kiedy ostatni raz widzieli się ze sobą, weszło kilku ludzi zakneblowało usta i cichaczem wynioslo pod las, gdzie zdjąwszy mu wszystkie pierścionki, zabrawszy kosztowności i pieniądze, przygotowali się powiesić go na gałęzi, gdy nadjechało kilkudziesięciu ludzi, jak się pokazało konfederatów, wskutek czego jeden z nich miał czas zaledwie wyciąć go w głowę, jakiemś narzędziem. Na krzyk zbiegli się do niego, a tymczasem tamci uciec mogli.

Paracki nie uważał, jak podczas tego gospodarz obok idący niespokojnie ruszał się, biorąc to za głowę, to boki podpierając.

Po skończonem opowiadaniu, prosił starostę o przebaczenie, że i od niego wyjaśnienia żądać będzie: jak się to stało, że on, którego liczą do swoich najgorliwsi patryoci, pojął za żonę córkę Moskala, znanego z gburowatości jak się to stało, że przyjął starostwo wpływem moskiewskim wyrobione.

„A o to się pytasz Waćpan! Ha, ha ha", zaśmiał się Adam, ot, zwyczajna historya. Że silniejszy ma władzę nad słabszym, musiałem się ożenić z tą Amalią, co nie takich mężów miała przy sobie, jak ja, musiałem przyjąć starostwo, żeby ona była starościną. No! ale pocieszam się, że to tak wszędzie. Wyobraź to sobie, kochany Władysławie, naprzykład ty, miałeś tam gdzieś pod Lanckoroną dziewkę, z którą nawet pierścionek cię łączył, miałeś nieprawdaż?

Paracki stanął na ścieżce blady, jak trup.

„I cóż dalej, mów pan dalej, panie starosto!" rzekł spiesznie. „Alboż jej już nie masz?"

„Ba! masz, nie masz, to dwie duże dość podobne rzeczy. Ale słuchaj. Otóż przyjeżdża tam twój przyjaciel, który przypadkiem ma twój zaręczynowy pierścionek..."

„Zabrano mi go tej nocy", przerwał gwałtownie gość. „Ogłasza cię za zmarłego, rozkochuje ci dziewczynę, żyje z nią najrozkoszniej przez kilka miesięcy, a potem, zostawszy starostą, łapie ciebie samego i wtrąca do więzienia. „Dalibóg, ja to zrobię", dodał, jakby sam do siebie, podczas gdy Paracki osłupiały stał przed nim, karabelę prawą ręką chwytając „dlaczegoż by nie, czyż nie mam władzy nad tobą".

Paracki wściekły już, błysnął żelazem, Adam poskoczył w tył i zrobił to samo w jednej chwili. „Bzdurstwo, tylko chwilkę cierpliwości!" rzekł drwiąco. „Hola, chłopcy! Macieju, Semenie".

Natychmiast zjawiło się kilku drabów hajduków, kilka razy brzękły szable, ale już Paracki bezbronny upadł w tył, wypuściwszy z rąk szablę.

„Do ciemnicy go! Tylko jedzenia, picia dużo", zawołał Adam, a potem zbliżył się do krępowanego już przez sługi i rzekł do niego, kiwając głową. „A gdyby się ciebie ktoś pytał, jak się to stało, to powiedz mu, że zwykle silniejszy słabszego dusi."

Paracki popatrzał nań z ubolewaniem, był zdolny przebaczyć mu wszystko teraz. W godzinę potem leżał w samotnym, wilgotnym lochu, dokąd zniesiono mu kilka butelek wina i obfitą porcyę mięsiwa.

XV.

W samotnym domku pod Warszawą, ks. kanonika Giełzy, dni inaczej od niejakiego czasu biegły, prawdopodobnie dlatego, że od niedawna przybyła doń nowa mieszkanka, która znalazła gościnne przyjęcie u staruszków.

Było to na wiosnę, z końcem maja, gdy pani Marya, wyszedłszy wieczorem na przechadzkę w stronę chat wiejskich, spotkała młodą kobietę, samotną, w podróżnem ubraniu, która zmęczona usiadła pod krzyżem, i głowę na dłoniach sparłszy, zdawała się płakać. Staruszka nie wahała się przystąpić i rozpocząć rozmowę. Podróżna musiała być bardzo znękana na ciele i duszy, skoro niezwłocznie przyjęła ofiarowany sobie spoczynek w pobliskim dworku, w drodze szukając ulgi w spowiedzi, poczuwszy zaufanie ku poczciwej twarzy gospodyni, sama opowiedziała jej

swoje położenie, jak kochała konfederatę, który musząc odejść, gdzie go obowiązek wołał, zostawił jej zakład swojej miłości, jak babka, kobieta surowych zasad ze zgryzoty umarła, jak ona, sama zostawszy, nie mogąc znieść ludzkich oczu, zebrała się i wyruszyła w drogę, gdzie jej nikt nie zna.

Gospodyni księdza Giełzy wysłuchała tego wszystkiego milcząco, a potem, gdy już dochodzili do domku, ucałowała ją w czoło i rzekła: „Bardzo ty biedna, moje dziecko. Ale u nas będziesz, jak u rodziców, nikt cię prześladować nie będzie“.

Był wieczór, przez otwarte okno dostawał się śpiew ptasząt do izby, w której leżała młoda kobieta z nowonarodzonem dzieckiem przy piersi. Przebyte bole nie zostawiły już żadnego znaku na jej twarzy, spędziła je macierzyńska radość: wiedząc, że to jest jej jedyną obroną.

Po chwili weszła pani Marya do pokoju, i z największą życzliwością w oku popatrzyła na młodą, która podawała jej dziecinę do złożenia w kolebce.

„Jakże czujesz się moje dziecię“, zapytała ją „Czy nie będzie trzeba może kobiety dla naszego aniołka przyprowadzić“.

„O! nie daj Boże!“ odpowiedziała obca, „Pan Bóg przynajmniej wynagradza matce w ten sposób jej cierpienia, że pozwala karmić. Zdrową jestem, dzięki wam zacni gospodarze“, i chciała z wdzięcznością ucałować ręce staruszki.

„A my, czy nie chrześcijanie?“ zapytała ta, rękę cofając, „przecież Pan Bóg dał na to, aby drugim dobrze czynić, jeżeli można. Nie dziękujcie więc nam, tylko jemu.“

Tak mijały dnie w dworku pod Warszawą. Chora przyszła wkrótce już całkiem do siebie i rozpoczęła życie nowe dla swojego dziecka. Ale też od tego czasu myśl, jakie miejsce nieznana przybłęda zajmuje u dobrych ludzi, coraz częściej trapić ją poczęła. Postanowiła wyjawić swoje nazwisko, bądź co bądź i ojca swojego dziecka, czy nie słychać co o nim, i z zapasem grosiwa, które miała, pójść pracować do miasta. Wyszła więc z dzieckiem na ręku do ogrodu, gdzie pod lipą starą siedziała pani Marya, zajęta robótką popołudniową.

„Łaskawa moja dobrodziejko!“, rzekła, siadając obok niej, „już też czas, żebym podziękowała za gościnność za siebie i za mojego aniołka. Zostało mi się trochę pieniędzy jeszcze i pójdę do miasta. Musicie także wiedzieć, kogo gościliście u siebie, Annę Lackę z pod Lanckorony, sierotę już od dawna.

Gospodyni księdza Giela zdawała się dobrze nie słyszeć nazwiska, bo rękę do uszu przyłożyła, chcąc złowić ostatnie dźwięki. Potem zdziwiona popatrzyła na Annę. Milcząc jednak słuchała, co ta dalej mówi:

„Moje dziecię zaś, da Bóg, nosić będzie imię, tylko was proszę zachowajcie w tajemnicy i cokolwiek usłyszycie, nie wyjawiajcie przed nikim, dziecko moje nosić będzie imię...“ staruszka bystro ucha nastawiła... „Adama Karskiego“. Staruszka ciężko odetchnęła, jakby jej ciężar spadł z serca, zdawało jej się bowiem, że podobne imię słyszała z ust Parackiego. Pocieszyła się, słysząc, że o Karskiem mowa i rzekła:

„Dobrze, dobrze, tajemnicy dochowamy, ale po cóż moje dziecko masz tak prędko wyjeżdżać. U nas możesz siedzieć, tak długo, dopóki, dopóki pan... jak mu na imię?

„Karski“,

„Karski? zdaje mi się, że wiem coś o nim; dobrego nawet. Pan Karski pracuje dla dobra ojczyzny, jeden z najgorliwszych jej obrońców w dzisiejszych czasach. Wiem nawet, gdzie teraz przebywa, aha w starostwie N., wysłano go tam dla pomagania patryotom tamtejszym“. Staruszka nie dobrze już pamiętała, co opowiadał Paracki przed kilkunastu dniami, jadąc w poselstwie do starosty. Ale Annie to już wystarczało.

„Boże mój, dzięki Ci“, zawołała radośnie, więc żyje, ach jadę, jadę natychmiast zobaczyć go przynajmniej“, i dziecko ucałowała kilkakrotnie gorąco, podczas gdy pani Marya zadowolona, że taką radość sprawiła opuszczonej kobiecie, patrzyła na nią, śmiejąc się wesoło.

„Jedź dziecko, a potem musisz wracać do nas. Czekamy cię. A on niech zobaczy dziecko przynajmniej swoje. Jedź, jedź. Ale do nas wrócić musisz, nie zapomniemy o tobie nigdy.

Pojawił się wkrótce ksiądz kanonik, a usłyszawszy powód radości obu niewiast, pocałował w czoło młodszą i rzekł także:

„Ano, jedź. Pan Bóg chciał tak widocznie, a do nas przyjedź jak do rodziców“.

W dni parę Anna zaopatrzona we wszystko, a szczególniej w pieniądze, wyjechała w drogę, szczęśliwa, że zasięgnęła wieści o ukochanym.

(Dokończenie nastąpi).

L. S.

„GIOCONDA“ — dramat Gabryela d'Annunzio.

Następujący wyjątek z III. pieśni Iliady położył d'Annunzio na końcu książkowego wydania swego dramatu:

Helena wiotką szatę z srebrnej tkanki wdziewa
I wychodząc z sypialni ciche łzy wylewa.
Z nią dwie służebne Aitre, Palea szczep [młody,
I Klimene o oczach barwy morskiej wody.
Gdy przybyły na miejsce, kędy Skajska [brama,
Zobaczyły siedzących wokoło Pryama,
Wśród wybranego dzielnych wojowników [grona,
Paudosa Tymojtesa i Hikelaona.
Tam siedział Lampos, Klityj sławą wojny [dumny,
Ukalegon, Antenor z doświadczeń rozumny.
Z powodu lat stronili od Aresa sprzeczki,
Lecz lali z ust słów miody, jak świerszcze lub skrzeczki,
Co usiadłszy na drzewie w ocienionym lesie,
Grają miłymi głosy. Tak też na oczesie
Kamiennej bramy siedząc, książęta sędziwi,
Widząc Helenę, która kłótnię mężów żywi
Wyrzekli lotne słowa zwykłe mądrym rajcom:
„Jak się tutaj Trojanom dziwić i Achajcom,
Że cierpią już tak długo dla tej mąk spra- [wczyni,
Która pięknością równa niebiańskiej bogini?“

I.

U stóp pięknej mąk sprawczyni, Baala miłości, pięknej Giocondy, składa dwoje ludzi spokój swojego serca i szczęście całego życia.
Jak się tutaj Trojanom dziwić i Achajcom?
Jak się dziwić Luciowi Settali?
Gioconda była bogini równa pięknością.

Lucio Settala, sławny i genialny rzeźbiarz, jest rekonwalescentem. Po długiej walce między życiem a śmiercią, po cierpieniu, spowodowanem nieudałem samobójstwem Lucio przychodzi zwolna do zdrowia. Nie mógł znieść dłużej cichego głosu sumienia, nie mógł pogodzić postępowania swego ze świadomością winy wobec pokrzywdzonej i oszukanej żony, Sylwii i targnął się na życie własne. Los jednak chciał inaczej. Teraz powraca do zdrowia, a z niem razem przywiązanie i miłość do żony, spotęgowana wdzięcznością za wszystkie jej troski i starania, położone około niego z zaparciem się siebie samej podczas jego długiej choroby. Jednak kochanka Lucia, Gioconda, nie myśli wyrzec się go. Wierzy, że go odzyska, że Lucio znów do niej powróci. W pracowni Lucia, gdzie stoi posąg, który mu przyniósł sławę, a do którego Gioconda była mu modelem i natchnieniem, w tej samej pracowni, gdzie później zrozpaczony artysta usiłował pozbawić się życia, przebywa rywalka Sylwii, po kilka godzin dziennie czekając na powrót ukochanego; w tej pracowni, gdzie wszystko zdaje się dyszeć jeszcze wspomnieniami pieszczót i szeptów ich gorącej płomiennej miłości.

Gioconda wierzy, że jest Luciowi potrzebną i konieczną do tworzenia, że jej miłość uczyniła go wielkim artystą, że jej ciało natchnęło go do stworzenia arcydzieła.

Lucio jednakże jest jeszcze zbyt osłabiony, potrzeba mu spokoju, dobrze mu przy żonie, Sylwii, nie chce odmiany, nie chce myśleć o przeszłości. „Nic nie pamiętam — mówi — nie chcę pamiętać o niczem“. Teraz chce życie poświęcić drogiej żonie i wynagrodzić wszystkie wyrządzone jej cierpienia bezgraniczną miłością. Gdy tylko wiosna nadejdzie, pojadę do Bocca d'Arno cieszyć się naturą, nowem życiem, szczęściem i zmartwychpowstałą miłością.

Tymczasem Gioconda nie zasypia sprawy, by Lucia przyciągnąć napowrót ku sobie. Wie, że czuła miłość Sylwii uśpiła w Luciu i przygłuszyła miłość dla niej. Ona wie, że Lucio nie potrafi miłości tej wyrwać ze swego serca. Gdyby tylko wiedział, że ona codziennie przychodzi do jego pracowni, że marzy o nim i czeka...

czeka... Powróciłby z pewnością w jej ramiona mimo wszystko, mimo na nowo rozbudzone przywiązanie do żony. Więc pisze do niego list pełen namiętności tłumionej i niecierpliwego oczekiwania.

Lucio list otrzymał. Spokój jego stracony. Dawne namiętności odzywają się z niepohamowaną siłą. Wie, że obowiązkiem jego jest oddalić od siebie nieprawą kochankę, wie że powinien stanąć w obronie żony krzywdzonej przez intruza. Jednak czuje, że sił do tego nie ma, że ramiona Giocondy są dla niego jedynem szczęściem a zarazem przekleństwem. Silwia wie o liście Giocondy. Postanawia walczyć na śmierć i życie o kochanego męża, postanawia pójść do pracowni Lucia i zabronić do niej wstępu nienawistnej kobiecie. Wierzy, że ją pokona! Wśród ulewnej burzy idzie Silwia stoczyć walkę o swoje szczęście.

Pokrzywdzona żona i namiętna kochanka stają oko w oko, każda gotowa walczyć do ostatniego tchu. Silwia wyrzuca Giocondzie niegodziwość jej postępowania. „Wszystko co czynisz jest niskie. Jesteś intruzem w obcym domu. Jesteś bezczelna, zuchwała i nieubłagana!“

„Nie ma we mnie nic nieubłagalnego — odpowiada Gioconda — jestem tylko posłuszna nieznanej mocy, która jest nieubłaganą. Lucio żyć może tylko jako artysta, tylko jako twórca. Aby on mógł żyć dalej, jest moja obecność tutaj koniecznie potrzebną“. A dalej dodając — „Tu jest pracownia artysty a nie dom. Tu jest miejsce, które stoi ponad zwykłemi prawami. Tu tworzy artysta posągi. Tu mieszka on jedynie z narzędziem swej sztuki. Gioconda nie myśli się cofnąć. Silwia popada w rozpacz i w rozpaczy ucieka się do jedynej deski ratunku, do kłamstwa. „On mnie tu przysłał — mówi — bym ci powiedziała, żeś mu niepotrzebna. On sądzi, że duma powstrzyma cię od narzucania się jemu“. Giocondę ogarnia szał wściekłości. Dysze pragnieniem zemsty i zniszczenia. Jak i czego, wszystko jedno! „Więc mię wypędza? — woła — Powiedz mu, że ja jedynie byłam jego młodością, jego siłą, jego światłem. Powiedz mu to, powiedz! On jest teraz starcem. Od dziś jest starym, zgrzybiałym, bezdusznym. Ja zabieram ze sobą wszystko, co w nim było promiennem, dumnem i wolnem. Krew, którą wylał przed mym posągiem, była ostatnią kroplą jego młodości. To co ty mu wsączyłaś w serce, nie ma ognia, jest bezsilnem i nędznem. Powiedz mu to! Zabieram dziś z sobą całą jego moc, dumę, radość, wszystko. Już po nim. Powiedz mu to. A ten posąg jest moim, należy do mnie. On otoczył go tem życiem, które kropla po kropli wyssał ze mnie. Ten posąg do mnie należy, Ja go zmiażdżę, ja go roztrzaskam o ziemię“, Silwia chce bronić arcydzieła swego męża. Rozjuszona Gioconda obala posąg, który padajac odrywa chcącej go pochwycić Silwii obie dłonie. Gioconda zwyciężyła. Silwia jest w Bocca d'Arno — sama. Lucio powrócił do Giocondy. Silwia jest smutna opuszczona, okaleczała. Odwiedza ją Gaddi, stary przyjaciel i dawny mistrz Lucia i siostra jej Francesca Doni. Życie szare, pełne rozpamiętywań lepszych, szczęśliwszych chwil, pełne wspomnienia bolu i klęski, pełne cierpienia. Silwia znosi swój los boleśnie, cicho, z rozdzierającem serce poddaniem się. Prócz przyjaciół kocha naturę. Patrzy na majestat bezmiernego morza na zachody i wschody złotego słońca. Odwiedza ją mała Sirenetta, jedna z najcudniejszych postaci, jakie d'Annucio kiedykolwiek stworzył. Sirenetta uosobienie uroku dzikiej, wolnej, tajemnej przyrody nadmorskiej.

Takiem jest życie Silwii, która złożyła szczęście swojego serca i spokój całego życia u stóp srogiej pięknej Giocondy. A również ciemnem jest życie Lucia, życie pełne gorączki, niepokoju i wyrzutów sumienia. Jak mówi o nim Gaddi, cierpi dla srogiej mąk sprawczyni.

„O Nemezis!
Jak się tutaj Trojanom dziwić i Achajcom?
Że cierpią już tak długo dla tej mąk sprawczyni,
Która pięknością równa niebiańskiej bogini?“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

Przedstawienie „Żydówki“ (występ pp. Strassern i Schlafenberga), miało charakter tragikomiczny. Puste rzędy krzeseł, przeciąg, systematyczne skąpstwo w oświetlaniu audytoryum, puste oczodoły lóż, zniechęcenie orkiestry po ostatnich awanturach, które objawiało się w pewnem niedbalstwie w traktowaniu swoich partycyi; trąby zachrypnięte (zapewne wskutek zimna) i nuty podarte, pokreślone, z których z wielkim trudem coś odczytać można, oto czynniki tragiczne.

A teraz strona komiczna.

Pachołcy wprowadzają pana Schlafenberga na scenę. W tej chwili po krótkiej introdukcyi orkiestralnej ma wbiegnąć p. Strassern. Cisza... nikt się nie pojawia. Chóry latają po scenie z tajemniczymi szeptami: p. Schlafenberg stoi, jak skamieniały. Dyrygent p. Elszyk, wpada na kapitlany pomysł: każe orkiestrze powtarzać frazę po raz wtóry. Cisza... *status quo ante*. Pan Elszyk po raz trzeci każe grać frazę. Cisza... Galerya psyka, pan Schlafenberg drgnął. P. Elszyk w rozpaczy każe trąbie zagrać hejnał. I wyleciał z złotej paszczy smętny melancholijny dźwięk, wołającego na puszczy dyrygenta. Ten ton dopiero sprowadził p. Strassern z za kulisów.

Iluzya przepadła... ; partytura Żydówki bezpotrzebnie została powiększoną.

Wykonanie opery wogóle było słabe. Pan Schlafenberg jeden tylko śpiewał i grał dobrze, przypominając chwilami swoje dawne świetne czasy. Nie chcemy jednak wierzyć, aby teraz była jeszcze możliwa u tego artysty głosowa rekonwalescencya. P. Strassern nie zadowolniła zupełnie (intonacya w II. akcie podczas modtitwy). To samo da się powiedzieć o p. Kaufmanie, który nie dorósł do zadania swej partyi i o p. Ruszkowskiej, która była niemożliwą. Widocznie partya ta nie leży w jej głosie. P. Paszkowski maleńką swą rolę opracował jak zwykle bez zarzutu. Inteligentny ten artysta po Fauście, bardzo udałym, daje się słyszeć znów tylko w trzeciorzędnych rolach. Chóry i orkiestra trzymały się dość dobrze, ale bezpowrotnie, zdaje się, minęły czasy, kiedyśmy się rozkoszowali idalnem wykończeniem i cieniowaniem, tak w orkiestrze, jak i w chórze.

Konkurs stulecia.

Przed kilku miesiącami redakcya „Kurjera Warszawskiego“ rozesłała do uczonych polskich, literatów i artystów listy, z prośbą o wymienienie dzieła z zakresu polskiej nauki, literatury i sztuki, które w każdej dziedzinie uważają na najlepsze w XIX. stuleciu. Do tej prośby dołączyła redakcya kwestyonaryusz, złożony z 14 rubryk odpowiadających rozmaitym dziedzinom twórczości polskiej. Termin nadsyłania opinij, wyznaczono do końca roku i w numerze noworocznym „Kurjera Warszawskiego“, znajdujemy następujący rezultat tej zajmującej ankiety.

W historyi palmę zwycięstwa, w turnieju o uznanie powszechne, zdobył sobie historyk żyjący. Największą liczbę głosów bowiem otrzymało dzieło Tadeusza Korzona „Dzieje Polski za Stanisława Augusta“, na drugiem miejscu stanęła Joachima Lelewela „Polska i rzeczy jej“, na trzeciem Kalinki „Sejm czteroletni“, a na czwartem Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło“.

W dziale historyi literatury polskiej najwięcej głosów otrzymał Piotr Chmielowski za dzieło p. t. „Historya literatury polskiej“, a zatem znowu dzieło żyjącego pisarza. Potem najwyżej podniesiono znaczenie dziejów piśmiennictwa, opracowanych przez Michała Wiszniewskiego.

W językoznawstwie — jak łatwo można było przewidzieć — największą liczbę głosów

otrzymał „Słownik języka polskiego“ S. B. Lindego. Wogóle w rubryce językoznawstwa, a nawet wszystkich nauk filologicznych wymieniano jedno tylko nazwisko: Linde.

W etnografii także wynik łatwo było przewidzieć. Przemagającą większość głosów otrzymał tu, podobnie jak w językoznawstwie, właściwy twórca tej dziedziny Oskar Kolberg za dzieło „Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce“. Dzieło to, które zapoczątkowało rozwój folklorystyki polskiej, jest tak wielkie, w stosunku do któregokolwiek z mnóstwa, zjawiających się potem, że Kolberg dzięki jemu pozostał bez konkurencyi.

W grupie nauk filozoficznych głosowała dosyć szczupła ilość osób przyczem głosowanie co do psychologii nie doprowadziło do żadnych rezultatów określonych. Z dzieł filozoficznych najwyżej postawiono Augusta Cieszkowskiego „Ojcze nasz“.

W estetyce najwięcej głosów otrzymało Karola Libelta „Umnictwo piękne“, dzieło, które już ma dziś tylko znaczenie historyczne. Potem następują Stanisław Witkiewicz ze „Sztuką i Krytyką“, Józef Kremer z „Listami z Krakowa“ i Klaczko z „Wieczorami florenckimi“.

W dziale nauk społecznych zarówno ze względu na obszar, jak i różnorodność gałęzi tych nauk, stanowczą większością głosów wyróżniono, jako dzieło ekonomiczne: Józefa Supińskiego „Szkołę polską gospodarstwa społecznego“, a w naukach prawniczych: Antoniego Zygmunta Helcla „Starodawne prawa polskiego pomniki“.

W matematyce wymieniono nazwiska: Folkierskiego, Hoene-Wrońskiego, Gosiewskiego, Żmurki, Badowskiego, Puzyny i in. W końcu największą ilość głosów otrzymało dzieło: Władysława Folkierskiego „Rachunek różniczkowy i całkowy“.

W astronomii jeszcze mniej nazwisk dało się odznaczyć. Najwięcej głosów otrzymał Śniadecki za swoją „Geografję czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi“, a obok niego głosowano na Poczobuta, Kowalczyka, Ernesta i Karlińskiego.

W grupie nauk przyrodniczych głosowano bądź ogólnie za Jędrzejem Śniadeckim, czyniąc go przedstawicielem całej dziedziny wiedzy, lub też, wchodząc w poszczególne gałęzie, obierano kilka dzieł wybitnych w różnych specyalnościach, przyczem Jędrzeja Śniadeckiego „Teorya jestestw organicznych“ zyskała największą ilość głosów.

W poezyi największe uznanie zdobył sobie Adam Mickiewicz swoim „Panem Tadeuszem“, przyczem każdy z sądzących robił swoje uwagi, dla jakich cech uważa Pana Tadeusza za największe dzieło poezyi polskiej. Opinja ta nie ma wyłączności, i Pan Tadeusz miał rywala jednak w „Dziadach“, a Mickiewicz w Słowackim i Krasińskim, których „Króla ducha“ i „Irydyona“ uważało wielu za najpiękniejsze wyrazy poezyi polskiej. W każdym razie jednak, odpowiednio do stosunku głosów, przewaga była po stronie Pana Tadeusza stanowczą.

W dramacie otrzymał największa liczbę głosów „Mazepa“ Juljusza Słowackiego, znacznie mniej, Krasiński, Mickiewicz, Korzeniowski, Świętochowski, Wyspiański, Przybyszewski i Sowiński.

W komedyi pierwszeństwo przypadło w udziale Fredrze za „Zemstę za mur graniczny“, potem najwięcej mieli Bliziński, Narzymski, Małecki i Kraszewski.

W beletrystyce przyznano pierwszeństwo Trylogii Sienkiewicza i to nadzwyczajną przewagą głosów. Drugiem z kolei jest „Quo vadis“, a po tem już znaczną mniejszością głosów następują Prus, Kraszewski, Orzeszkowa, Rzewuski, Jeż i młodsi pisarze. Że oba pierwsze miejsca dostały się dziełom Sienkiewicza, to dodaje blasku jubileuszowi i jest bardzo pięknym, ile że spontanicznym wyrazem uznania. Ale różnica głosów między nim, a Prusem jest zbyt znaczną, i nie dowodzi bynajmniej głębokości i niezależności sądu.

W muzyce podzieliły się głosy pomiędzy Szopena i Moniuszkę, przyczem jako dzieło muzyki instrumentalnej otrzymał pierwszeństwo „Marsz żałobny“ Szopena, a muzyki wokalnoscenicznej „Halka“ Moniuszki.

W malarstwie zdobył największą liczbę głosów Matejko swojem „Kazaniem Skargi“, przyczem całe stulecie malarstwa polskiego nazywano prawie jednogłośnie wiekiem Matejki. Dzieło nagrodzone miało jednak silnych rywali, zarówno w swojem duchowem rodzeństwie jak i w dziełach innych artystów, jak „Wojna“ Grottgera, „Świeczniki chrześcijaństwa“ Siemiradzkiego.

W rzeźbie, na pierwszem miejscu stanął „Gladjator“ Piusa Welińskiego, po nim trochę mniej już mieli głosów Kurzawa, Sosnowski, Godebski i inni.

W architekturze uznano za dzieło najlepsze Kościół św. Fioryana na Pradze, wzniesiony przez budowniczego Józefa Dziekońskiego.

Oto rezultat zajmującego eksperymentu przedsięwziętego przez redacyę „Kuryera Warszawskiego“.

Wiadomości literackie.

Eliza Orzeszkowa wykończyła nowelę większych rozmiarów p. „Anastazya“, oraz obrazek z ulubionego przez autorkę tematu z życia kwiatów polnych p. t. „Po co?“

*

Pod ogólnym nagłówkiem „Clio“ wyszedł zbiorek obrazków Anatola France'a, członka Akademji francuskiej, spolszczonych przez p. Stanisława Popowskiego.

Zawiera on utwory następujące: Pieśniarz z Kyme, Komm Atrebata, Wojna domowa, Król pije i La Muiron.

*

Björnson, głośny pisarz norweski, przebywa obecnie w Paryżu, gdzie pracuje nad nową sztuką p. t. „Laboremus“ która będzie odegrana równocześnie w Chrystyanii i w Berlinie.

*

P. t. „Z nowych dni“ p. Marya Czesława Przewóska wydała książkę, mającą być „syntetycznym zarysem końca wieku“.

Złożyły się na nią rozprawy następujące: „Brzaski odrodzenia“, „Przebudzenie się duszy“, „Wiedza tajemna i jej wyznawcy“, „Z motywów starożytnych“, „Materjalizm w literaturze w świetle nowych prądów“, „O smutku w literaturze“, „Fryderyk Nietzsche jako moralista i krytyk“, „Anarchizm ducha a indywidualizm“, „Intuicya kobieca w świecie nowej wiedzy“, „Kobieta i postęp ludzkości“, „Jak uczynić człowieka doskonalszym“ i „Prawdy etyczne“.

*

Wytrawny popularyzator wiedzy ścisłej, p. Władysław Umiński, ogłosił drukiem książeczkę, która zajmująco a przystępnie opowiada, „Jak powstała nasza ziemia i jaki ją czeka koniec“.

*

Nakładem ruchliwej księgarni wydawniczej Wład. Okręta w Warszawie, pojawił się pierwszy polski przekład głośnego dzieła Fr. Nietzchego „Tak mówił Zarathustra“. Przekładu dokonali Marya Cumt i St. Pieńkowski.

*

„Tendencyjnie fałszywa jest wiadomość podana przez niektóre dzienniki zagraniczne, jakoby „Quo Vadis“ zamieszczone było na indeksie ksiąg zakazanych przez Kościół. Kilka tygodni temu wyszedł *Index librorum prohibitarum* z drukarni watykańskiej w nowem a zatem ostatniem wydaniu, w którem pominięto wszystkie dawne dzieła z przed 1600 r., gdyż dziś już nikt nie czyta bądź protestanckich, bądź też wyszydzających Kościół katolicki i jezuitów. „Quo vadis“ Sienkiewicza oczywiście nie figuruje w spisie i nawet jest rzeczą nieprawdopodobną, aby odpowiednia propozycya zrobiona być mogła kongregacyi indeksu. W sferach klerykalnych rzymskich zadowolono się w wydaniu powieści tej, że opuszczone zostały dwa drastyczniejsze ustępy. Poza tem głos ogólny prasy katolickiej włoskiej przypisuje wielką zasługę Sienkiewiczowi, że powieścią swoją przyczynił się do podniesienia w całym świecie ducha chrześciańskiego. Z książek polskich znajdują się w ostatniem wydaniu „indeksu“ niektóre pisma A. Mickiewicza z czasów towiańszczyzny, jak „L'eglise officielle et le messianisme“ (z r. 1848), And. Towiańskiego „Biesiada“ (z r. 1841), i t. d. Najróżnorodniejsze „Katechizmy“ filozoficznie zajmują obszerną rubrykę. Z powieści dzieła Emila Zoli potępione zostały w ostatnich latach (dekrety z lat 1894, 1896 i 1898) i to nietylko niektóre, ale *opera omnia* jako nieprzywoite.

*

Ferdynand Gross, jeden z najwybitniejszych fejletonistów i krytyków teatralnych wiedeńskich, zmarł zeszłego tygodnia. Czynny do ostatniej chwili życia, Ferdynand Gross, był ulubionym pisarzem wiedeńskim, jego artykuły, dotyczące zarówno ogólno-literackich, jak i czysto-lokalnych spraw i stosunków zjednały mu popularność u publiczności i uznanie w sferach dziennikarskich. W latach 1897—1898 był on przewodniczącym stowarzyszenia dziennikarzy „Concordia“ w Wiedniu.

Z licznego dorobku literackiego Grossa na który składa się kilkadziesiąt książkowych publikacyj — trwałą wartość posiadają studya literackie o Goethem, książki „Modele literackie“, „Z mego wiedeńskiego kącika“, „Wśród śmiechu“, „Dziś i wczoraj“ i wiele innych.

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.